

Blokada na skrzydłach

2 października 2008

Prywatyzacyjne zamiary Platformy są tak przerażające, że trudno komentować coś innego.

Mediów publicznych nie udało się zrujnować ustawą, którą przed wakacjami zawetował prezydent, zyskując poparcie większości sejmowej. Uparty rząd PO próbuje więc drugiego podejścia. Tym razem tornado prywatyzacji, zamiast podmuchem, uderzy pełną siłą. TVP S.A. i Polskie Radio mają zostać po prostu zlikwidowane. Po zrównaniu z ziemią podobno się je odbuduje. Tyle, że już na innych zasadach. Oczywiście, nie będzie już abonamentu, czyli – jak to określa Platforma w swym lumpenliberalnym żargonie – „haraczu” wymuszanego na społeczeństwie. Ciekawe, że władza państwowa o tym skromnym podatku na utrzymanie ogólnopolskich programów telewizyjnych i radiowych myśli na poziomie pasażera na gapę, który dołożenie swojego grosza do publicznego dobra uważa – ano właśnie, za uciążliwy haracz.

Skąd fundusze dla publicznej telewizji i radiofonii-bis? Platforma obiecuje poszukać ich w budżecie, który – szczególnie, jeśli ekipa Tuska swe plany przyspieszenia naszych aspiracji do euro formułowała w jakimś stopniu na serio – ulegnie w najbliższych latach ostrym redukcjom. Gdyby podróbce środków komunikacji społecznej, którą szykuje rząd, groziło szybkie bankructwo, to zapewne nie byłoby czego żałować. O degrengoladzie jej od początku marnej jakości przesądzi – zawarta w przygotowywanej ustawie – mało na pozór groźna wzmianka o „licencjach programowych”. O te licencje będą zmuszone zabiegać kierownictwa programów nowego ośrodka radiowo-telewizyjnego, żeby otrzymać budżetowy przydział. Kryteriów oceny ich starań łatwo się domyślić z narzekań medialnych ekspertów Platformy, że w obecnie istniejącym mołochu państwowym opracowywanie i zatwierdzanie projektów audycji częstokroć trwa długo. A tymczasem – zachwycają się

liberalni fachowcy – w stacji komercyjnej wystarczy jeden podpis i załatwione! Rzeczywiście: po co obmyślać solidny, a przy tym interesujący program edukacyjny, skoro wystarczy wybrać na chybił trafił kilka CD-romów i zrobić składankę?

Addio, pomidory! – westchnijmy za piosenką z kabaretu, który występował w telewizji nie z tej epoki. Platforma jest zdecydowana przekreślić kilkudziesięcioletni dorobek – tyleż duchowy, co jak najbardziej wymierny i materialny – mediów audiowizualnych w Polsce. O ile majątek zlikwidowanej spółki, do której należą teraz TVP i PR, zostanie wystawiony na przetarg, w takim wypadku chętni na sprzęt kupiony za abonamentowy haracz nie zatroszczą się pewnie o filmowe czy muzyczne archiwa. Gdy pewien rekin rynku książek, a zwłaszcza poradników i podręczników, kupił – skierowane właśnie na ścieżkę prywatyzacyjną – Państwowe Wydawnictwo Muzyczne, jego współpracownicy usłyszeli krótkie i węzłowe zalecenie: „będziemy wydawać partytury (co – dla mniej zorientowanych – ze względu na ich wysoką cenę bardzo się opłaca), a resztę pi...dzielstwa won”. Efekt nie kazał na siebie czekać: serie wydawnicze z wnikliwymi często biografiami wielkich kompozytorów wegetują w bibliotekach i sporadycznie na aukcjach, lecz o ich kontynuacji nikt nie słyszał.

Jedyna nadzieja w ponownym wecie prezydenta i obronieniu go w Sejmie. Oby nie było to marzeniem ściętej głowy. SLD panicznie się przestraszył, że w kwestii mediów publicznych – co mu natychmiast wytknęli dyżurni komentatorzy – głosował z Kaczyńskimi. Jeszcze bardziej ponuro niż pokrętne tłumaczenie się z tej domniemanej zbrodni, brzmiały rzeczowe wywody lewicowych posłów. Jak najbardziej chcemy się porozumieć z Platformą – zapewniała parlamentarna czołówka lewicy, Grzegorza Napieralskiego nie wyłączając. I powinno się to udać, bo przecież mamy wspólny cel – odpolitycznienie mediów publicznych.

SLD wpada tutaj w stare, ale – jak widać – nadal bezbłędnie działające sidła liberałów. Media apolityczne są równie

możliwe, jak drewniane żelazo. Nawet „Nowy detektyw” i „Wróżka” propagują pewien styl życia i myślenia – a to już przecież sfera perswazji politycznej. Liberałowie doskonale zdają sobie sprawę z tego banału. Przecież to oni długimi latami narzucali publicznym środkiem przekazu swój jak najbardziej upolityczniony monopol. Tyle, iż maskowali go, wysuwając na pierwszy plan fachowców czy obiektywnych komentatorów, którzy jakoby zostawiali swe legitymacje partyjne w szatni albo w ogóle nie splamili się ich posiadaniem. A że za prezesowskiej kadencji Andrzeja Drawicza, a potem Jana Dworaka, telewizję publiczną przekształcono w studio wyborcze obozów, odpowiednio, Tadeusza Mazowieckiego i Donalda Tuska?

W rzeczy samej, dziennikarz „Polityki” i telewizyjny politolog nie muszą formalnie należeć do Platformy. Ważne, że z ich analiz wynika, iż ekipa Tuska jest:

- a) samym dobrem
- b) mniejszym złem
- c) grupą sympatycznych ludzi, którzy trochę za wolno reformują finanse publiczne
- d) nieudolnym rządem, który mało co robi, ale nawet taki, jaki jest, chroni nas przed recydywą policyjnego państwa PiS (potrzebne w danej chwili zaznaczyć i wykorzystać)

Ale to jeszcze detal. Bicie piany wokół trzeciorzędnego problemu, jakim jest do znudzenia demaskowany polityczny przechyl programów redagowanych na mokotowskiej ulicy Woronicza, przesłania kwestię rzeczywiście centralną. Otóż Polską faktycznie rządzą media komercyjne, wobec których partie polityczne w coraz większym stopniu pełnią jedynie funkcję namiestników. Dziela one, łączą, a czasem eliminują ugrupowania partyjne. Jak sobie zażyczą, zmieniają im program i wizerunek PR w tempie, jakiego wymaga odświeżenie danych gry komputerowej. Zdarzył się im tylko jeden wypadek przy pracy: prestiżowe porażki Donalda Tuska z jesieni 2005, które nie przypadkiem szybko pomszczono.

Mniejsza nawet, iż te ośrodki sterowania opinią bez specjalnych subtelności nawiązują do popierania Platformy. Przede wszystkim każdym swoim przekazem, niekoniecznie zawierającym treści wprost polityczne, upowszechniają mentalność, zgodnie z którą – nie szukając daleko – radiowo-telewizyjny abonament jest przestarzałą, przykrą i zbędną formą haracz. Tak uważa idealny odbiorca, którego pracownicy wychowują sobie zarówno codzienne wydania tabloidów, jak i wysublimowane dodatki do gazet wysokonakładowych. Że abonament to haracz, powie w telenoweli – jeśli randkowa konwersacja zejdzie przypadkiem na ten temat – świetnie zarabiający doktor medycyny na równi z taksówkarzem, a nawet bezrobotnym. Ba, serialowi scenarzyści mogą obiecać i dotrzymać, że utrzymają się z daleka od wątków zatracających o politykę. Dość, że z obiegu zamkniętego: zarabiać, wydawać, odprężyć się flirtem i rozrywką – usuną wszelkie ślady wskazujące na potrzebę istnienia jakiegokolwiek dziedziny życia publicznego.

Dzięki rzeczywistym władcom kraju, o których teraz mowa, liberalizm, którego jawni rzecznicy, poczynawszy od klęski Mazowieckiego, przegrywali wszystkie kolejne wybory, zbłądził wreszcie pod strzechy. Dominacja Platformy zamienia formacje określające siebie jako lewicową i prawicową w smętne upiory. Włócząc się w mało skutecznym poszukiwaniu elektoratu, marzą one po cichu, że główna partia w najbliższym, a może jeszcze późniejszym wyborczym rozdaniu wypadnie trochę słabiej. A to zmusi ją do rozejrzenia się po lewej lub prawej stronie za koalicyjną podpórką.

Własne oblicze i zdolność do życia dałby im tylko opór wobec zbliżającej się, skrajnie niszczycielskiej fazy prywatyzacji. Przecież, wychodząc z przeciwnych stron, można czasami atakować ten sam cel. Wiadomo, kiedy i w jakich okolicznościach żarliwy antykomunista Churchill sprzymierzył się z politykiem, którego postrzegał jako czerwonego diabła.

Trzeba trafu, że ilekroć do mózgów lewicowych lub prawicowych strategów – jak w związku z ustawą o mediach – należy się

trochę oliwy, jakiś niewidzialny czarodziej zabiera się do ich ponownego ogłupienia. Z punktu widzenia lewicy, obecna przewaga ludzi PiS-u na kierowniczych stanowiskach w telewizji czy radiu, powinna być uważana za wielokrotnie mniejsze zło niż trwała ruina tych instytucji. A jednak... Poseł Jerzy Wenderlich płacze w Sejmie nad cenzurą, nękającą w audiowizualnych przeglądach prasy – jak twierdzi – nie tylko niszowy dziennik lewicy, „Trybunę”, lecz i gazety liberalne. Nie zauważa, że w ataku jednostki chorobowej „anty-PiS” zamienia się z polityka lewicowego w rzecznika liberałów, który za swe usługi nie otrzymuje nawet minimum wzajemności. Na przeciwnym biegunie, spadochroniarz zrzucony przez PiS na odcinek telewizyjny, Sławomir Siwek, zaleca telewizjom religijnym zwiększenie czasu antenowego na programy katolickie. Ani ten memoriał, ani jego wątpliwy efekt nie roznieci płomienia gorącej wiary wśród publiczności TVP. Skłoni za to liberalno-lewicowych obrońców państwa wyznaniowego do zawołania: Ta zniewaga – układu z Platformą wymaga! Wśród takich zabaw i sporów, media publiczne chyba już wkrótce utoną.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)